

Agnieszka Żuchowska-Arent



**ZNIKOMAT**

Agnieszka Żuchowska – Arent

# Znikomat

Copyright by Agnieszka Żuchowska-Arent & e-bookowo 2009

Grafika i projekt okładki: Piotr Górnikiewicz

ISBN 978-83-61184-41-6

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2009

## SPIS TREŚCI

<b>OPOWIEŚCI O LUDZIACH ŻYWYCH.....</b>	<b>4</b>
Opowieść o pani Stasi.....	4
Przez żołądek do mózgu.....	6
Terapia.....	7
Łopatka.....	9
Rasizm.....	10
Lojalności żar.....	11
Pasażerowie.....	12
Ona.....	13
Plac.....	40
Zły kolor.....	44
Wiosna.....	16
Patryk.....	53
Dzień.....	55
Na falach wyobraźni.....	59
Opowieść o Babie, panu Zbyszku i o tym wszystkim, co my dobrze znamy, a Baba wcale nie chce.....	66
Papier.....	71
Pajaczkowy.....	23
Szósta.....	78
Okno na świat.....	81
I nie ma wyrozumienia.....	85
Wal(e)c.....	92
<b>PRZEJŚCIE.....</b>	<b>94</b>
F216.....	94
Człowiek.....	97
Pan Jan.....	100
Znikomat.....	105
Środa.....	110
W jednym z zaświatów.....	114
I koniec.....	37
<b>OPOWIEŚCI O LUDZIACH MARTWYCH.....</b>	<b>122</b>
Wielki Dzień.....	122
Katarzyna.....	40
Odwiedziny.....	41

## OPOWIEŚCI O LUDZIACH ŻYWYCH

### Opowieść o pani Stasi

Pani Stasia była trochę samotna. Ale nie była zgorzkniała ani trochę.

„To pewnie dlatego, że tak lubię ciasteczka. I sześć łyżeczek cukru do cappuccino. Co najmniej sześć” – tłumaczyła, odpowiadając na komplementy.

Chciałaby robić coś pożytecznego, ale coś przyjemnego jednocześnie. Energii jej nie brakowało.

Pani Stasia właściwie wiodła bardzo prosty tryb życia i wystarczały jej proste przyjemności: zielona ławeczka w wiosennym parku albo łabędzie, które można dokarmiać zimą. Chętnie też gawędziła z sąsiadkami w kolejce do lekarza albo w drodze powrotnej z kościoła. Popołudniami oglądała ulubioną telenowelę o miłości, a przed snem rozwiązywała krzyżówkę w „Życie Pani Domu Na Gorąco”.

Nikt by pewnie nie podejrzewał... (bo i o cóż, ludzie kochani, podejrzewać biedulkę – panią Stasię...?), dlatego właśnie nikt nie podejrzewał nawet, że miała pani Stasia swoje marzenie; niezbyt wyrafinowane czy przesadnie wydumane, ale dość nieosiągalne, by od wielu lat pozostawało niezrealizowane.

Otóż marzyła się pani Stasi własna cukierenka: urocza mała cukierenka, niekoniecznie na Brackiej czy Gołębiej; jest jeszcze wystarczająca ilość

uroczych uliczek w naszym mieście, mimo iż nie wszystkie trafiły do twórczości lokalnych poetów. W tej swojej cukierce podawałaby ciasteczka własnego wypieku, owsiane z czekoladą albo z orzechami, rogaliki z makiem nadziewane marmoladą i rurki z kremem migdałowym, bo taki jest przecież najlepszy. I nie dziwiłaby się nic a nic gdyby ktoś zażyczył sobie sześciu kostek cukru do cappuccino, albo nawet więcej.

## **Przez żołądek do mózgu**

Zawarta w zjadanej wątrobie kobalamina rozleniwia wątrobę drapieżnika, wnikając z przewodu pokarmowego bezpośrednio do krwi. Rysio nic sobie z tego robił, a raczej – robił sobie wszystkie posiłki. Nie będzie się przecież żywił wyłącznie smażoną cebulą. Poza tym, jego własna wątroba miała też inne obowiązki, więc chyba na brak zajęcia nie mogła narzekać. Cały jego organizm skupiony był na jednym, potężnym zadaniu. Medytował w równym stopniu opuszką dużego palca u lewej stopy, co kłębuszkami nerkowymi. Mózgu też używał oczywiście, a jakże.

## Terapia

Terapia dowolna: bioenergetyczna, psychiatryczna, konwencjonalna, niekonwencjonalna, czy inna, jest przede wszystkim skuteczna. Nie należy wstydzić się faktu, że jest ona potrzebna wszystkim, bo to świadczy pozytywnie choćby o psychoanalitykach; ich trudna, pełna poświęceń<sup>1</sup> praca jest wówczas doceniana, a oni sami – wciąż potrzebni. I niech nas nie zrazi konieczność poniesienia takich, a nie innych kosztów. Przecież to, co naprawdę cenne nie może być całkiem za darmo, a każdy z nas doskonale zdaje sobie chyba sprawę, że zdrowie jest najważniejsze, a zdrowie psychiczne w szczególności warte jest każdej ceny. Nie dajmy się zwieść obiegowej opinii, że jak nie boli, to nie ma choroby. Choroba zawsze się znajdzie, trzeba ją tylko do pacjenta odpowiednio dopasować... to znaczy... zbadać jego predyspozycje zdrowotne, skłonności genetyczne i zdiagnozować rodzaj przypadłości, by właściwie dobrać strategię leczenia.

W tym celu pacjent, powiedzmy, że pan Roch Ursynowski, którego znamy z Warszawy, uroczyście wkracza na teren światłego medyka, z zamiarem całkowitego poddania się jego woli. Na samym początku jaśnieje obszerny korytarz, gładki i czysty, specjalnie tak pomyślany, by już od progu wywołać cały ciąg pozytywnych skojarzeń. Pan Ursynowski zawiesił kurtkę lub płaszcz na wieszaku lśniącym srebrzystym metalem lub emanującym przytulnym drewnem; wszystko w zależności od tego czy pan Roch jest zwolennikiem surowej nowoczesności czy tradycjonalizmu.

---

<sup>1</sup> Podstawowym i najbardziej widocznym poświęceniem w pracy psychoanalityka jest niemożność położenia się do snu, podczas gdy pacjent, nie dość, że leży na leżance, to jeszcze częstokroć przysypia, a psychoanalityk musi być całkowicie rozbudzony, a do tego jeszcze słuchać wywodów pacjenta i obmyślać najbardziej dochodową diagnozę. A to przecież bardzo męczące.





## Łopatka

Tatusiek zjadł grzecznie, aż pochwalić należy, zupkę pomidorową z makaronem. Mlaskał przy tym językiem na znak całkowitej aprobaty, a zapytany jeszcze pochwalił, że owszem, dobra, jak zwykle, bo ze śmietanką i zieloną pietruszką, co mile połechtало Mamuškę po samoocenie.

By go już totalnie unieszkodliwić, Mamuška podsunęła mu jeszcze talerz ze schabowym z bigosem i ziemniaczkami, posypanymi koperkiem. Oczekała cierpliwie, aż wylizał starannie z talerza ostatnią kropelkę, okruszynkę, ostatnie ździebelko kapusty, po czym ruchem jak najbardziej dystyngowanym, osuszył dolną część twarzy przy pomocy serwetki ze złocistym nadrukiem w formie stylizowanego rzymskiego meandru.

## Rasizm

Zajadła sprzeczność pomiędzy moim „ja” osobowym, a moim „ja” artystycznym skłoniła mnie do ostatecznego rozstrzygnięcia, że nie chcę widzieć na oczy tak jednego, jak i drugiego. A ponieważ lusterko jest przydatne choćby do ogolenia się – chyba się nieźle zapuściłem, bo przecież nie mogę wejść do łazienki i tak po prostu spojrzeć mu w twarz. Nie mam mu nic do powiedzenia; żadnemu z nich. Zapuściłem się, czy nie, to nie jest ważne, mnie to nie przeszkadza, bo przecież i tak nawet tego nie widzę. W ogóle nie wchodzę do łazienki, żeby przypadkiem nie natknąć się na jednego albo drugiego jak łypie do mnie z lustra krzywą, zarośniętą (tak! Na pewno zarośniętą!), gębą.

Panny Krysi też nie chcę na oczy widzieć. Nigdy! Chyba, że się zmieni i poprawi w sobie to, co mnie w niej tak irytuje. Dobrze jej potępić rasizm jak jest wysoką, długonogą blondyną o niebieskich oczach. Idealna Aryjka! Tak, tak właśnie zachwyca się nią Wszechmłodzież Polska. Ale co ona może wiedzieć o rasizmie?! Przeszłaby się po ulicy jako ruda, krzywonosą Rachela – córka łódzkiej szwaczki i garbatego Żyda, oberwałaby kamieniem między oczy od gładkogłowego młodzieńca, to może by wreszcie wiedziała o czym mówi.

## Lojalności żar

*Spieszmy się kochać ludzi,  
tak szybko odchodzą  
Jan Twardowski*

Lubienko zawsze był małym szaraczkiem, najmniejszym, najędźniej-  
szym liczykrupiną w zakładzie. Siedział zawsze w kątku ze swoim białym  
kołnierzykiem, starannie zaczesaną łysiną i równie lśniącym obuwiem, będąc  
żywym dowodem dla niedowiarków, że gatunek, do którego zaliczał się mię-  
dzy innymi pan Akakiusz Baszmaczkin, nie wymarł doszczętnie z końcem  
dwudziestego stulecia. I gdyby nie to, że przecież wiemy niezbitie, iż pan  
Akakiusz zmarł bezpotomnie w burzliwych okolicznościach, powiedzieć by  
nawet można było, że Lubienko to jego rodzona rodzina. Ale niestety wobec  
niezbitych dowodów, że tak nie jest, powiedzieć tak nie możemy.

## Pasażerowie

– A że ziemniaki podrożały znowu, pan słyszałeś? – zapytałem przypalając papierosa.

Od razu zrobiło się widniej, a co najważniejsze, byłem teraz daleko od tej jędzy – mojej żony, która nawet podróż w interesach potrafi zamienić w gorsze piekło niż to jest z założenia i bez jej głupiej pomocy. Rozrzewniłem się w puszystym dymku delikatnych, srebrzystych esów-floresów, aż całkiem zapomniałem, że przecież zadałem pytanie, a facet naprzeciwno, ten z zaban-  
dażowaną ręką, w ogóle nie odpowiada. Zapomniałem już, o co właściwie go pytałem, a chciałem koniecznie nawiązać rozmowę, więc zacząłem jeszcze raz, bardziej ogólnie, ze statecznością konesera życia.

– Człowiek to ma ciężki żywot na tym łoż padole, zgodzi się pan?

Spojrzałem na faceta z papierosem i jego głupie pytanie z uzasadnionym wyrzutem, bo przypomniał mi o kontuzjowanym nadgarstku, o którym od ponad godziny, mimo przejmującego bólu, udało mi się nie pomyśleć ani razu. Facet nawet nie wie, jak bardzo ma rację, zaczynając tak do mnie, i jak bardzo go za to nienawidzę. Istotnie, nie jest wcale łatwo zabrać się za podstawowe czynności tego ciężkiego żywota naszego powszedniego na tym łoż padole, mając kompletnie unieruchomioną kończynę. Na dodatek, zupełnie nieznajomy, bezczelny facet przypomina mi o jej rwącym bólu, gdy życzliwie monotony stukot kół o szyny dość opieszale, ale jednak zdołał mnie nieco znieczulić. Co on może o tym wiedzieć?

– Oczywiście, że ma pan rację. Życie jest ciężkie. – odrzekłem całkowicie przekonany.

## Ona

Mżawka była lekka tylko, leciutka. Ale za to zmokłem cholernie czekając na nią. (A pies jej mordę lizał w tę i z powrotem!) Właściwie sam jak ten pies zmokłem tego pięknego dnia, aż do nocy czekając na nią i czekając. Właściwie to śnieg, a nie deszcz, osiadał na jej beżowych rajstopach. Pomyślałem, że zimno jej może przez te wszystkie dziury. Powinna nosić wełniane, innym kobietom byłoby zimno; ale ona nie była zwykłą kobietą, ona grzała się od środka. Grzała ostro.

Dlaczego właściwie ciągle myślę, że to rajstopy? Pewnie nie mogę w to uwierzyć, chociaż już znam prawdę. Bo przecież raz kiedyś nawet dała mi sprawdzić. Tylko raz, bo się nie wywiązałem. Mogę sobie teraz przywoływać z pamięci jej podkolanówki, które wygniatają cienką, czerwoną bruzdkę tuż pod nasadą jabłuszka; dla niej nie jestem prawdziwym mężczyzną i tak. I chociaż leży każdej nocy taka bliska, gorąca, rozbuchana do czerwoności, dysząca jak piec węglowy, taka realna i taka nieprzytomna – to i tak nic. Już nigdy więcej nic.

Zimno jest i ciemno na ulicy. Idzie ktoś. To nie ona. Nie warto patrzeć.

Jabłuszka kolan są czerwone jak prawdziwe jabłka, pokryte tylko suchymi okruszkami złuszczonej skóry jak prawdziwym, zimowym szronem. Policzki też ma czerwone, i zwiotczałe fałdki skóry nad ustami, jak powierzchnia jakiegoś zwiędłego owocu, i zgrubiałe palce stawów.

## Plac

*Opowiadanie to dedykuję  
niebieskiemu ptakowi  
– Mareczkowi W.  
oraz Dejanowi Vukićeviciowi  
– autorowi opowiadania  
„Człowiek z okrągłego placu”*

*Autorka*

*Nie ma dla mnie więzienia  
Przeniknę  
Nawet przez gęstą sieć konwenansów  
I odfrunę.*

Prawie w każdym mieście, w centralnym punkcie, są takie słoneczne place – miejsca schadzek lokalnych niebieskich ptaków. Niektóre niebieskie ptaki cuchną alkoholem i latają przeważnie do monopolowego, inne – dosłownie pierzaste i dziobate – równie oczyszczone z rzeczywistości, wznoszą się ponad placem, wśród, wciąż jeszcze słonecznego, nieba. Jednym i drugim zdarza się wygrzebywać drobinki chleba spomiędzy kamieni brukujących plac. Jedne i drugie w równym stopniu ów plac zabrudzają i wzbudzają kontrowersyjne dyskusje na temat swej szkodliwości społecznej, stanowiąc jednocześnie atrakcję dla turystów i małych dzieci.

## **Zły kolor**

Ewa stała na tle ściany z podniesioną prawą nogą. Mogłaby to być lewa noga, bo przecież każdy człowiek jest raczej symetryczny, ale na lewej nodze już opierała cały ciężar ciała, więc gdyby ją jeszcze podniosła, przewróciłaby się na pewno. Tak to przynajmniej profesjonalnie wyłożył pan Artysta Malarz, gdy Ewa próbowała wstawić się za swoją dopiero co wyjętą z gipsu, lewą kończyną dolną.

Mieściła się w całości, razem ze swoją nogą, na pomarańczowym fragmencie ściany. Nie mogłaby stać nigdzie indziej, bo tak właśnie życzył sobie pan Artysta Malarz, a on przecież maluje wyłącznie z natury i wyłącznie to, co naprawdę widzi.

Właściwie, powinna była skończyć trzy minuty temu, ale pan Artysta Malarz akurat ma natchnienie i na kolanach błagał o jeszcze chwileczkę. Skoro modelka ma stać dwie godziny na jednej nodze to z całym szacunkiem dla artystów, nic mu się nie stało gdy sobie na chwileczkę przyklęknął.

## Wiosna

Bardzo jest szaro i niemilo teraz. Patrzę przez okno (no, bo co by tu robić i przez co innego patrzeć niby?) i myślę to samo, co myślę i widzę akurat. Powiedziałem to chyba nawet na głos, a może i krzyknąłem nawet; pewny nie jestem, bo ścisk mnie taki w gardle złapał.

– Oj, chciałbym żeby ta wiosna już w końcu przyszła!

– Jestem! – powiedziała.

Ale nie była to wiosna, tylko baba moja własna, z którą ożeniłem się dawno temu, ze trzydzieści i siedem lat już będzie jak się mnie tak trzyma kurczowo. Że i teraz przyszła to też żadna sensacja, bo przyzwyczailem się już, że jak gdzieś wychodzi to potem wraca, bo tak było od samego początku.

Zwierzę jakieś i tym razem przyniosła, ale i to też nic dziwnego nie było. Często przynosi do domu łyse, bladoróżowe kurczaki, takie chude i jak papier pod zębami trzeszczące, szczególnie, jak jaką małą kość nadgryźć. A spod grubej i kostropatej skóry to im potem wyciąga takie świństwa białe i żółte, wstrętne. Mnie to się to z czytaniem gazet kojarzy: z wierzchu niby wszystko w porządku: litery, kropki i przecinki, ale pod pozorem liter i papieru różne wstrętne paskudztwa się tam kryją.



## Patryk

*Pomysłodawcom i zwolennikom  
zasilku „becikowego”  
Autorka*

Jak każdego wieczoru, dwie maleńkie nóżki chlupotały w brejowatym śniegu. Nawet nie zostawiały za sobą śladów, były zbyt maleńkie, a błota było za dużo. Patryk bezbłędnie trafiał za matką z zamkniętymi oczami, po tropie alkoholowego odoru. Był to jedyny, na tyle nieomylny system identyfikacji, że dzieciak nie musiał zbyt często otwierać oczu i unosić głowy, żeby się upewnić, zresztą to pewnie i tak nie na wiele by się zdało. Tak rzadko to robił, że chyba już niezbyt dobrze pamiętał, jak wygląda jego matka.

Ironia losu kazała nadać imię pochodzące od łacińskiego *pater* dziecku, które ojca miało jedynie w chwili poczęcia.

## Dzień

*Na tym polega wartość życia, że płaci się za nie  
nawet życiem.  
(Karel Čapek)*

*Przezornemu P. S.,  
niebieskiemu ptakowi M. W.  
oraz innym przezornym  
i niebieskim ptakom  
Autorka*

Wygasała noc, a właściwiej: zapalał się dzień, tak, jak zapala się światło w ciemnym pokoju. Pstryk! Podnosisz powieki i tym samym zapalasz dzień; jeden, drugi, trzeci... twój dzień. I dobrze wiesz, że możesz z nim zrobić, co chcesz. Możesz go komuś podarować, albo pozwolić go sobie ukraść. Możesz go sprzedać, albo wyrzucić na śmietnik. Możesz go stracić.

Mówiono ci tak od przedszkola. (Chyba, że nie uczęszczałeś do przedszkola, ale to przecież od niczego cię nie zwalnia.)

A jednak każdy ma takie dni poprzetykane nocami. Nie da się żyć ciągle i płynnie, jedną mojryczną nicią. W praktyce żyjemy po kawałku: dzień po dniu.

## Na falach wyobraźni

W otchłani żółtych wód kłębiły się nie odkryte potwory, dziwaczne ryby i niesamowite rośliny, a na powierzchni dryfowała jedna, jedyna łódeczka. Nawet nie łódeczka, szczerze mówiąc nie tratwa nawet, a po prostu zwykła kartka papieru śniadaniowego. Komuś najwidoczniej przyszło do głowy, że ten cieniutki arkusik jest w stanie pomieścić i unieść całą rodzinę. I tak też się stało.

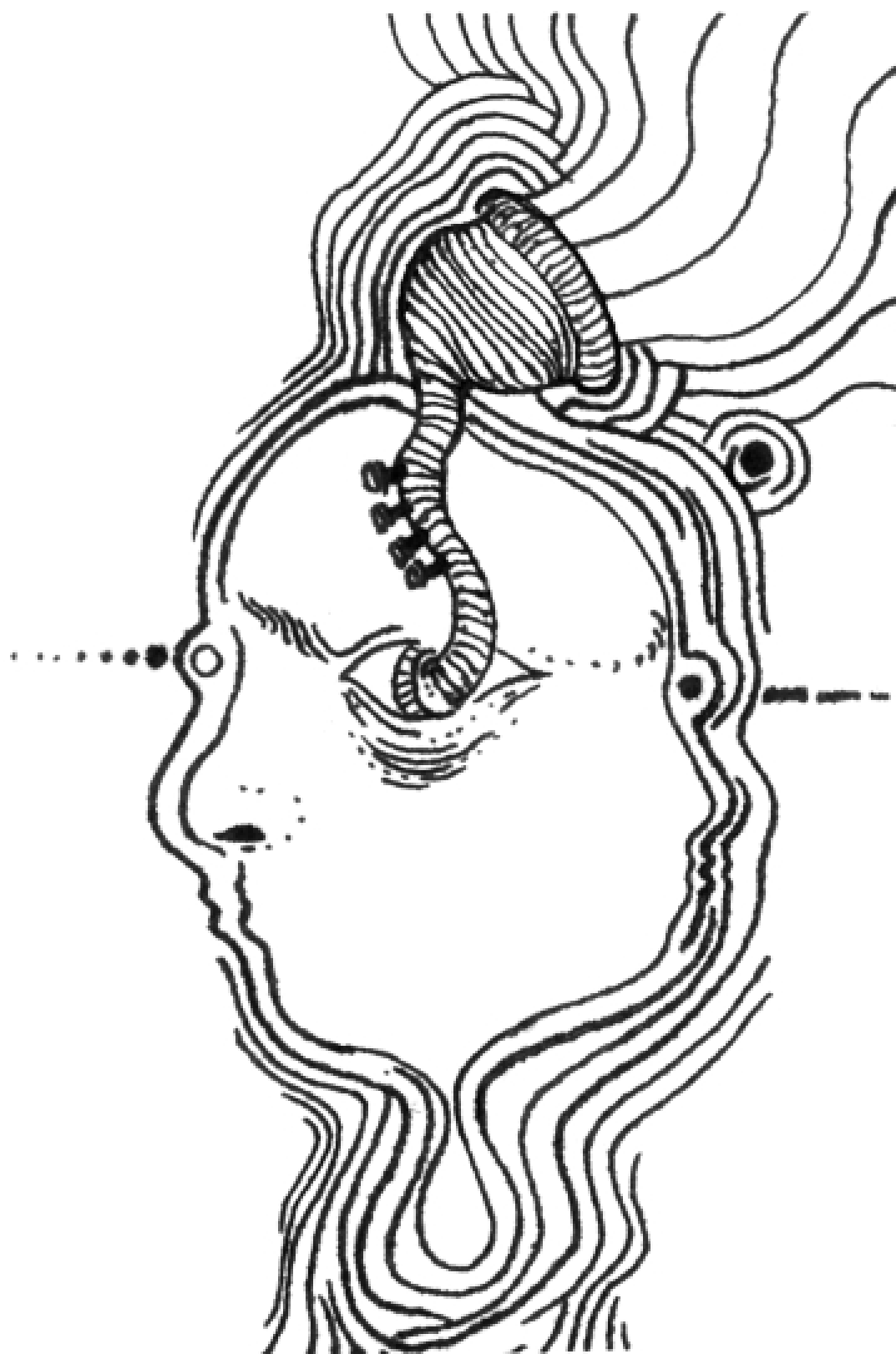
– Przestań się tak wiercić, bo papier do reszty przemoknie i wszyscy zatoniemy! – krzyknęła wyraźnie przerażona pani Eugenia widząc, jak jej mąż chybotnie się na prawo i na lewo zawiązując sznurowadło.

– Właśnie, że będę się wiercił i na prawo, i na lewo, i ile mi się tylko spodoba! – odparł Hubert oburzony, a każdemu jego słowu towarzyszyło solidne szarpnięcie wywołane celowym przechyleniem ciała we wszystkie możliwe i niemożliwe strony świata. – Ten, kto nas tu wsadził może nas stąd i wyciągnąć, a jeśli tego jednak nie zrobi, to znaczy, że nic nam już nie może pomóc, a zatem i zaszkodzić nic nam nie może.

– Ależ tato, przecież on sam powiedział, że nie ma już na nas takiego wpływu, że zaczęliśmy żyć własnym życiem! – odezwała się w końcu Zenobia.

Odkąd znaleźli się tu, na falach, prawie w ogóle się nie odzywała. W czwartek miała dać popisowy koncert przed wielką publicznością, pierwszy raz w życiu solo, a tutaj nawet nie miała ze sobą skrzypiec. Poza tym, czwartek już jutro...

Ojciec tymczasem zmarszczył się z niesmakiem i zatłukł coś fioletowego na swoim ramieniu.



## **Opowieść o Babie, panu Zbyszku i o tym wszystkim, co my dobrze znamy, a Baba wcale nie chce**

Baba siedziała na przyzbie. W środku współczesnej Warszawy trudno o przyzbę, tym bardziej na tak nowoczesnym osiedlu, ale cóż, Baba się uparła i trzeba jej było tę przyzbę sprawić.

„Bo u mojej matki jeszcze pod Radzanowem, przyzba była, żeby usieść było gdzie, to i ja muszę na stare lata mieć gdzie się ogrzać jak Bóg przykazał!” – argumentowała.

Miała też baba dużo bardziej przekonujące argumenty, była, bowiem nie tyle rencistka, co rentierką, a przecież nie od dziś wiadomo, że: „Jak pan każe, tak ja łażę.”

Dostała zatem Baba swoją przyzbę na ósmym piętrze piętnastopiętrowego apartamentowca i gdyby nie jedyne zmartwienie, jakim był fakt iż mleko z hipermarketu nijak się nie da na zsiadłe zastawić, byłaby Baba jedynym całkowicie beztroskim stworzeniem na tym bożym świecie. Zresztą narzekać i tak nie miała na co, bo najmniej raz na miesiąc szwagierka przyjeżdżała do niej z mlekiem, śmietaną, jajami, a nieraz to i ze świeżym warzywem spod samego Łowicza.

## Papier

Wtedy jeszcze Bronowice drżały rezonansem zamaszystych podskoków i echem zbyt głośno śpiewanych pieśni weselnych z zeszłego wieku. Złotoróżne liście wokół osiedla kołysały się twierdząco, jakby chciały przypomnieć, że: *trza być w butach na weselu!*

I pan, który wychodził zza bloku alejką buty miał, i to nie byle jakie: lśniące, ciemnobrazowe, o połysku szlachetnego mahoni i zgrabnych noskach lekko spoglądających ku górze; wypolerowanych, rzekłbyś, królewskim aksamitem, bo ich blask z blaskiem oczu zakochanej kobiety można było jedynie porównać.

Powyżej srożyły się bezwzględne ostrza kantów prążkowanych spodni i majaczyła wypiełgnowana dłoń, dzierżąca oprócz bambusowej złotogłowej laski, również parę eleganckich rękawiczek z miękkiej brązowej skórki. Tuż pod sztywno wykrochmalonym kołnierzykiem od lewej kieszonki kamizelki wiódł szlak złotego łańcuszka, na którego końcu znajdował się zapewne mały kształtny czasomierz. Dyskretne szkła w drucianej oprawie wzmacniały zmęczony już bardzo, ale wyraźnie szlachetny, wzrok.

## Pajęczkowy

Pociąg pozbawiony jest komfortowej amortyzacji i wyciszenia wnętrza, ale właśnie dlatego w przedziale panowała przytulna atmosfera właściwa fotelom przy kominku podczas śnieżnej zimy. Tyle, że zamiast trzaskania palącego się drewna trzaskały koła o szyny. Jedyne pasażer zawędrował błędnym wzrokiem aż na podłogę, schylił okoloną wianuszkami czarnych włosów, głowę i zatrzasnął powieki.

W rzeczywistości trzask ten wydobył się spomiędzy nagle otwartych wież przedziału, przez które przecisnąć się miała osłoda samotności niedosłego rycerza śpiącego. Miała ona na głowie czerwoną chustkę w kratę, a na niej kaptur, obwieszony kłakami białego puszcza. Poniżej kwiciastej spódnicy, a powyżej kozaków jaśniał błękit grubej wełny. Rzekłbyś: *le bas bleu*, ale wystająca zawartość jednej z wielkich toreb suwanych przez nią po podłodze, szybko sprowadziłaby cię na właściwe tory rozumowania. Była to kura, a ściślej – jej skrzydło, makabrycznie zwisające spomiędzy brzegów zamka błyskawicznego. Chcąc usprawiedliwić ten bezwładny pośmiertny krzyk, baba odezwała się:

– Do dzieciów wieżę, do Warszawy. Tam takich nie mają. A pan z daleka?

– Tak.

– A skąd?

– Z Krakowa.

## Szósta

Od wiosny do jesieni ulica Szósta stanowiła wirydarz zamknięty między okratowaniem kasztanowców, okalającym z obu stron zarówno przechodzących chodnikiem, jak i przejeżdżających szosą. W pozostałym czasie miejsca tego strzegły gałęziorekie trupy, a stapało się po styropianie śniegu, maskującym podspodnią zlodowaciałość. Bywało zimno, szaro i wstrętne, bywały wyrwy w chodniku i błotniste kałuże, ale na to nikt nie zwracał uwagi, podobnie jak nie była atrakcją coroczna zieloność liści, białość kwiatów, albo jesienna mnogość błyszczących, pozornie kolczastych kasztanów.

Sama ulica Szósta nie egzystowała nigdy jako cel wypraw pieszych, czy zmotoryzowanych, bo też nic szczególnego się na niej nie znajdowało. Na całej długości usiana była ciepłymi domkami. Co prawda ustawiono tam szkołę, piekarnię i myjnię samochodową, ale do tej pierwszej chadzano z obowiązku, automatycznie, chłodno, jeszcze w kleszczach nocnego letargu, albo już w żelaznych dłoniach dnia. O dwie pozostałe zahaczano okazjonalnie i niezwykle pośpiesznie.



## Okno na świat

*M. W. oraz innym znawcom sztuki prawdziwej  
i artystom w jednej osobie (w swoim własnym mniemaniu)*

*Autorka*

Smuga wiosennego słońca położyła się pasem na twarzy Feliksa, przecinając ją dokładnie na linii oczu. Śpiący wiercił się, prychnął niczym kot skropiony zimną wodą, mrugał nerwowo powiekami, przesłaniał oczy dłonią, aż wreszcie przewrócił się na drugi bok i już spał spokojnie, o czym świadczyło soczyste chrapanie.

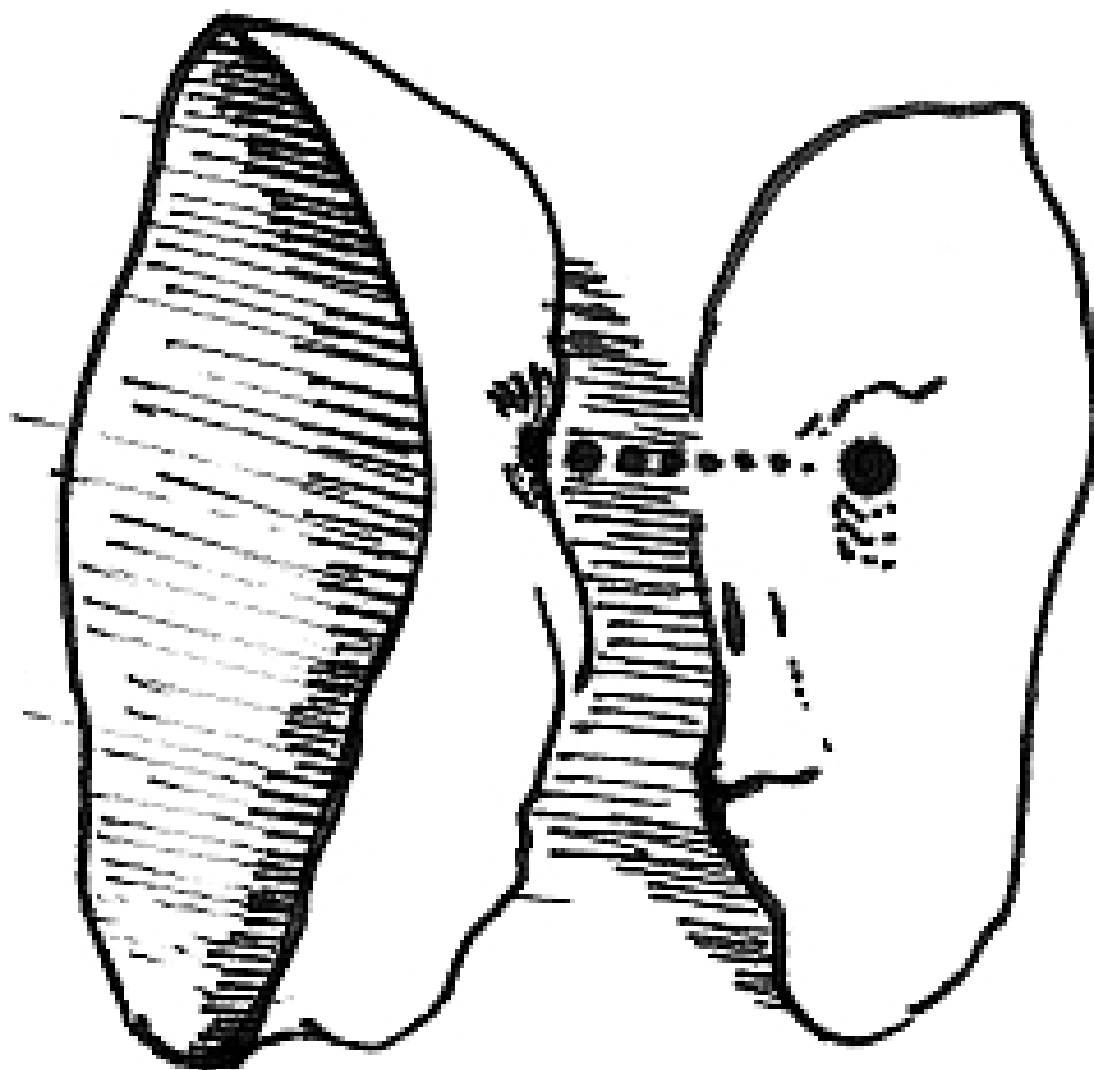
Minutę przed południem usiadł na łóżku z zamkniętymi oczami, ziewnął i przeciągnął się leniwie.

– Jaki piękny poranek! – westchnął. – To cudownie obudzić się skoro świt i chłonać pełną piersią budzący się dzień!

Wsunął stopy w miękkie, haftowane pantofle i zarzucił jedwabny szlafroczek na pasiastą pidżamę. Zjechał windą na najniższe piętro, do osiedlowego sklepiku, w którym znajomy sprzedawca jeszcze trzymał dla niego świeże bułeczki. Wrócił do mieszkania ożywiony intelektualną pogawędką o pogodzie i oblizując się ze smakiem przystąpił do przyrządzania śniadania.

– Nic tak nie ożywia jak poranna kawka! – zauważył napełniając czajnik wodą.

By jeszcze głębiej wczuć się w ów wspaniałą nastrój włożył do odtwarzacza swoją ulubioną płytę z nagraniem ptasich głosów. Wydało mu się to tak bardzo a propos, że podkreślił głośność ile się da i był z siebie naprawdę dumny. I co z tego, że nikt nie sypie sześciu łyżeczek cukru do kawy z podwójną śmietanką? Inni są prostacy i nie wiedzą, co dobre, zadowolają się byle czym, ale jedynie on – Feliks ma niezawodny smak i swój własny styl,



## **I nie ma wyrozumienia**

Weszło jajco. Klępowate obłe kule obłócone w zeszmaciałe odzienie, rozpoczęły swój całodobowy ruch okrężny wokół kurników jajonośnych pod patronatem źródła jaj wszelkich – Wielkiego Jajca.

To ono było jedyną światłością i źródłem życia, a także jedynym po nim przewodnikiem wyznaczającym jego długość i rytm, ostatnią i pierwszą wartością moralną, jedyną naprawdę nienaruszalną: może nawet było Bogiem.

Tego akurat nie można być pewnym, ale jak powszechnie wiadomo, mocarnych bogów nigdy za wielu i jeden więcej zawsze się przyda. Może akurat będzie mu się chciało kiedyś dopomóc w biedzie w ramach autopromocji, właśnie wtedy, gdy pozostali bogowie się wypną... Ale uda się to jedynie pod warunkiem, że wszystkich tych bogów, bożków i boginki upakuje się po kolei i zgodnie w panteonie tak, żeby każdy miał dokładnie wyznaczony obszar i granice swoich kompetencji, prawa i obowiązki. Trzeba też jeszcze wmówić każdemu, że według nas on jest jeden jedyny i prawdziwy i że jest naszą jedyną nadzieją i zbawieniem (wtedy się bardziej starają, chyba nawet naprawdę w to wierzą), choćby sobie był z plastiku, z drewna, z kamienia, w płynie, w sprayu, w proszku instant, na płycie DVD, czy choćby nawet w trzech osobach.

We wsi popełniono morderstwo. Ale to już wiadomo.

## Wal(e)c

Słusznie już dawni filozofowie, patriarchalnie zgięci nad niemowlęcą kołyską, „dziwili się cóż to będzie za dziecko”. No, może z tymi filozofami to drobna przesada, przynajmy jednak, że każdego korci, żeby wiedzieć, cóż to wyrośnie z tego ślicznego dziecięcia, co to z błyskiem w oku czai się właśnie z betonową płytą nad naszą prawą stopą albo kombinuje, jak by nas tu kopnąć w piszczel.

Ale kto by tam miał złudzenia. Chociaż przyjaciół podobno się nie wybiera, to i tak wiadomo było, że najlepiej z całej podstawówki trzymać się z Mokrym, bo jego stary jest ambasadorem i na pewno potem podsunie mu jakiś stołek. A dobrze jest trzymać się z kimś, kto siedzi na stołku.

Suchy trzymał się go jak rzep przez całą podstawówkę, liceum, potem nawet wtrynił się z nim do jednego pokoju w akademiku. Przecież wiadomo, że Mokry zawsze pokój w akademiku dostanie, i to w tym lepszym, dla cudzoziemców i samorządu studenckiego. Tak zupełnie cynicznie to na szczęście nie wyglądało. To była prawdziwa męska przyjaźń. Dzielili się nawet tymi samymi dziewczynami. Jak się już jakaś nie podobała albo znudziła Mokremu, Suchy mógł ją sobie bez problemu przyswoić.

Potem Suchemu powinęła się noga, a Mokremu – nie. Tak też się czasem zdarza.

Teraz po latach spotkali się przypadkiem na ulicy, no i wypadło przywitać się wylewnie, z użyciem ramion zarzucanych na szyję. Ponieważ obaj odczuwali pewną drętwość sytuacji, zgodzili się co do tego, że najlepiej wstąpić przy tej okazji na jednego do najbliższej knajpy.

## PRZEJŚCIE

### F216

Nie ma większej różnicy pomiędzy poszczególnymi porami roku. Nie ma w zasadzie żadnej różnicy. Można spędzić wśród takiego ekosystemu całe wieki poruszając się efektywnie w kierunku codziennych zajęć. Tak, tak można! A ponieważ można, to właśnie się to powszechnie praktykuje, i – jak widać – z zadowalającymi rezultatami, bo początkowe założenia planu zawsze doczekają swej realizacji. Regularne rysy architektoniczne, stonowane odcienie szarości, nieocenione możliwości progresywne...!

Facet we flanelowej koszuli wyszedł po papierosy. Przeprowadził zatem zamierzone i uporządkowane działanie. Przemierzył trasę od swego mieszkania do kiosku, zaopatrzył się w prostokątne pudełeczko i z wykresem drogi powrotnej w głowie zmienił zwrot marszu na przeciwny.

## Człowiek

Co jest prawdziwe? Czy biała wełna obłoków, czy jej zabrudzona forma, przypominająca raczej niedbale ciśnięte na niebo grudki błota, oderwane bezpośrednio od podeszwy schodzonego obuwia? – Tak, tak, wiadomo, tak czysta jak i brudna wełna powoduje alergię skórne, a rzadkie, dalekie obłoki są zbudowane tak z jednej, jak i z drugiej. Gdyby dotrzeć do nich zupełnie blizutko, nie zobaczyłoby się nic, a kilka kroków dalej znalazłoby się w samym środku atmosferycznej pustki, z szarą albo białą watoliną, otulającą samiutkie jej granice. Ale nie można zobaczyć z bliska ani watoliny, ani wełny, tak czystej, jak i brudnej. Chcąc do nich podejść bliżej, by znaleźć choćby ślad ich namacalności, wyszedłbyś na zewnątrz i znalazł się w punkcie wyjścia i nawet nie wiedział, gdzie byłeś. To już wszystko: jedno wielkie niebieskie oszukaństwo! A tęcza? Tyle już razy była chwyтана w dziecięce dłonie, a ciągle jeszcze istnieje i może dalej symbolizować... to, co symbolizuje. Jest, bo spływała potem po dłoniach strugami zwykłej deszczowej wody, zupełnie prześwietlonej słońcem, które potem wysuszało ją na nocny wiatr, zupełnie szary. Zaiste jest to szczyt straconych złudzeń powtarzających się z bolesną regularnością. Nigdy jednak nie jesteśmy dość rozczarowani, by odmówić sobie tego biegu z bijącym szybciej sercem, ku pustemu horyzontowi. Stajemy się coraz bardziej nieszczęśliwi, ale nigdy dość nieszczęśliwi; a swoje poprzednie położenie rozumiemy dopiero po kolejnym kroku w dół. Czyżby już tylko samo słońce? Ale jest już za późno. Dobiegliśmy do pustego horyzontu po tęczy i straciliśmy słońce, któremu pozwoliliśmy zajść daleko za naszymi plecami.

## **Pan Jan**

Nareszcie noc zasłoniła nagie okno pana Jana. Wewnątrz piętrzyły się kończyny dawno i tragicznie okulawionych krzeseł, plastikowe butelki i połamane gałęzie. Gdzieś powiewały jeszcze strzępki starych gazet. (Okna były nieszczelne.)

Wszystko to, przeznaczone było do przepastnej paszczy pieca, w którym czasem nawet piekły się kartofle, o ile udało się je znaleźć.





## **Znikomat**

*Mój złoty, ludzie nie są szarzy!*

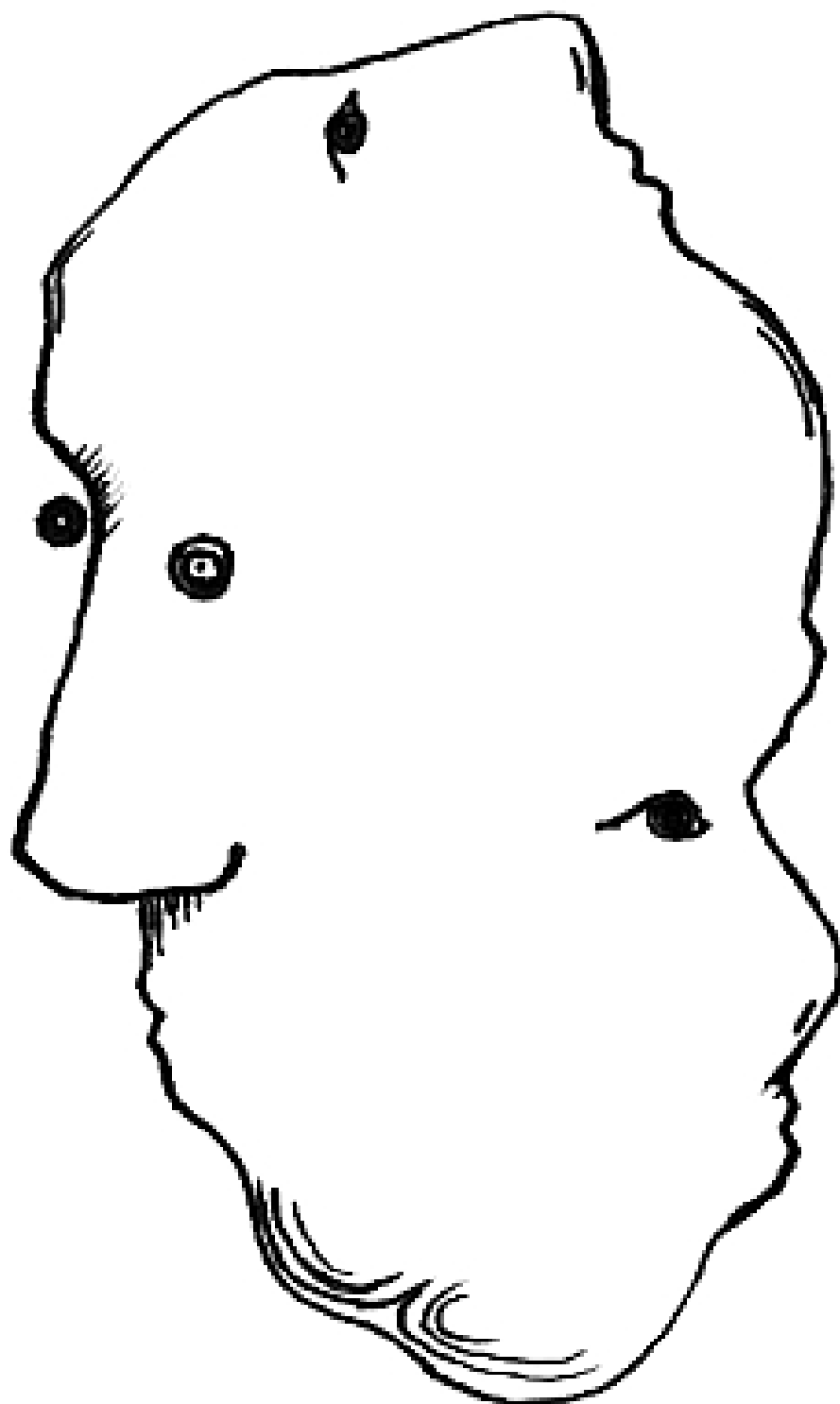
*(Tadeusz Różewicz)*

Siedział z szeroko rozpostartymi nogami, na których zgięciu oparł łokcie, a w skierowanych do góry dłoniach dzierżył skierowaną do dołu, głowę. Można by go szczegółowo scharakteryzować pod wieloma, mądrze ustalonymi, aspektami; powiedzieć, że jest dobrze zabezpieczony finansowo, albo wręcz przeciwnie – totalny bankrut; geniusz w każdej dziedzinie, albo też kompletny imbecyl, ale to nieistotne. Ważniejszy jest fakt, iż był on w posiadaniu całego bogactwa cech wszechstronnych, złożonego w jedyny i niepowtarzalny zestaw. Jak u każdego człowieka. Tylko czy jest sens przytaczać tutaj choćby niektóre z nich?

## Środa

*Bo chodzi tylko o to, żeby nie umrzeć  
przed śmiercią.*

Obudził mnie poranek, który zawsze musi wstawać zbyt wcześnie. Do czego się tak spieszy? Zwlokłem z łóżka swój obolały organizm i zacisnąłem zęby zanim jeszcze cokolwiek poczułem. Tak na wszelki wypadek. Z wieloletnich przykrych doświadczeń wiem, iż wysunięcie swej powłoki cielesnej spod kołdry skutkuje doznaniem przejmującego zimna, a to powoduje dotkliwe poparzenia najbardziej zewnętrznej osłony skórnej. Szczelnie się odziawszy rzuciłem okiem przez okno na tak, iście po barbarzyńsku rozpoczęty, dzień. Przecież to jeszcze noc!



## W jednym z zaświatów

Za ścianą zachował się zaledwie znikomy zaczątek zaświata. Zapewne zwyczajni zazdrośnicy zaczęliby zarzucać mu zaściankowość, zapytując z zaciekawieniem, czy zawsze zakrywa swą zawartość tak zupełnie zadecydowanie...

Ale któż miałby to uczynić, skoro nie było tutaj nikogo? Całą przestrzeń przeznaczoną na zaświat wypełniała Pustka, dlatego już nic więcej nie mogło się zmieścić. A jednak, im dłużej tam siedziała, tym mniejsze stawały się jej potrzeby. Sama też kurczyła się niespostrzeżenie i chyba dość niespodziewanie, razem z otaczającym ją, nigdy nie powstałym zaświatem, który teraz stał się właściwie jednoosobowy.

Po drugiej stronie kwitła owadzia witalność drobnych faraonek, bezczelna i rozpychająca się łokciami. Każdy skrawek przestrzeni był natychmiast wykorzystywany na jakąś, mądrą lub głupią, ale w każdym razie, w rozumieniu mrówek, postępową, działalność.

Natomiast stan pacjenta w sali na końcu oddziału trudno było nazwać postępowym, chociaż lekarze robili wszystko, aby zaszła jakakolwiek zmiana. Jakakolwiek. To się chwali.

## I koniec

Niebo było kobietą z obrazów Rubensa: niemłoda już, rudowłosa, szeroka, gęsta i zawiesiście tłusta, jak rosół. Uważa się, że takie zachody słońca są idealne dla gruźlików, którzy pomni tej opinii, od lat już przyjeżdżają do, ukrytego wśród topól, uzdrowiska na kilka tygodni tuż przed śmiercią. Podobno to właśnie doskonale stąd widoczne, zachody słońca utrzymują i cementują w kuracjuszach chorobę; a cóż może być bardziej zbawienne dla gruźlika niż gruźlica? Ważne to jest szczególnie teraz, gdy nikt już nie wstydzi się swej prawdziwej tożsamości, a wręcz przeciwnie – walczy o nią ze wszystkich sił, dumnie prezentując, że on właśnie nie płynie z prądem, ale jest inny, wyjątkowy, indywidualny i – oczywiście, jest sobą w każdej sytuacji. Dotyczyło to, ma się rozumieć również gruźlików, którzy walczyli o prawo swobodnej manifestacji swej tożsamości, bo niby dlaczego mianoby ich dyskryminować?

## OPOWIEŚCI O LUDZIACH MARTWYCH

### Wielki Dzień

To dziś jest ten wielki dzień. Szyba w oknie zaparowała, dalej jest chłodno, ale za to śnieg już wczoraj do reszty stopniał i jest sucho. To dobrze. Przyjdzie dużo ludzi. Oni nie lubią śniegu ani błota. Zniszczyliby sobie buty i pochlapaliby ubrania.

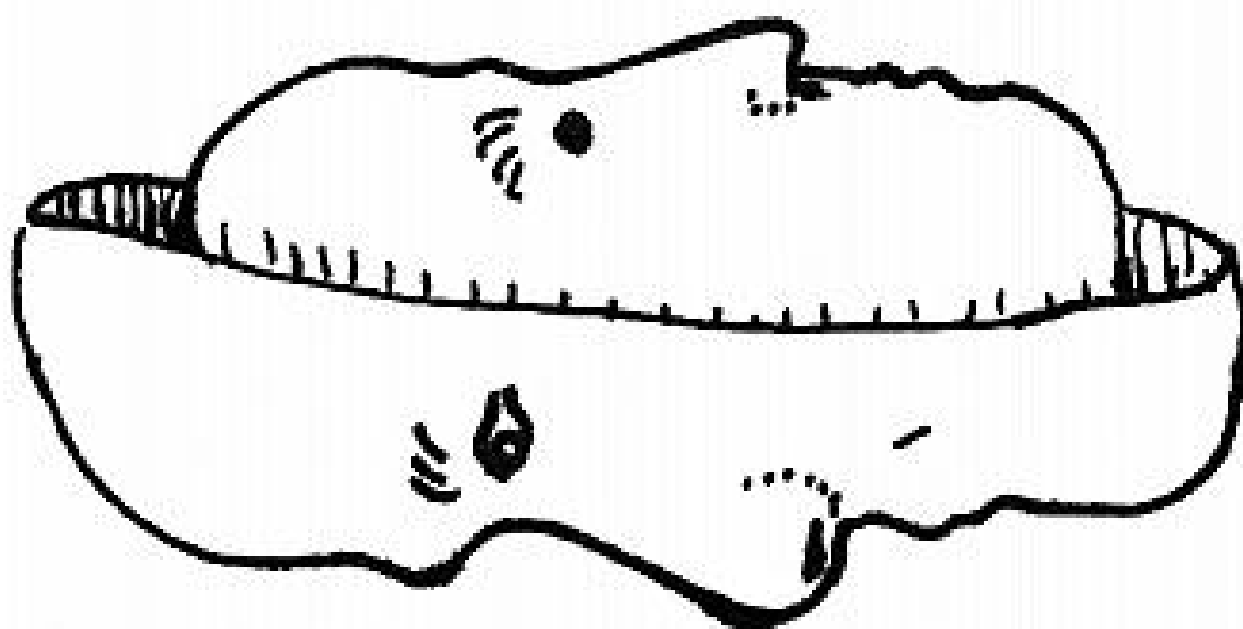
Mnie już wczoraj wyszorowali zimną wodą, oskrobali ostrożnie i pięknie ubrali. Co się przy tym nawyrzekali, nazłorzeczyli, nadenerwowali, że w ślubny surdut się nie mogłem zmieścić. Grubas!? Też coś! Czy człowiek musi do końca życia ważyć 62 kg? Wtedy nazywano by mnie chuderlakiem...

W końcu moja biedna Adela dosztukowała po trochu materiału z obu boków i całkiem sporo z tyłu. Wystarczyło, żeby mnie wcisnąć. Nic przecież nie będzie widać i tak. W końcu będę leżał cały czas na plecach, i w dodatku dokładnie obłożony kwiatami...

Zaczyna się. Ktoś po mnie przyszedł. Przykryli mnie i wynieśli do kościoła.

Zeszła się tu połowa miasteczka. Cieszę się. A ja leżę na samym środku nawy głównej i wszyscy mnie oglądają. Niektórzy witają się ze mną, żegnają, pozdrawiają. Nigdy jeszcze nie byli tak wylewni, serdeczni, więc tym bardziej mi miło. Ja też was pozdrawiam, kochani!!!

Przyszli sąsiedzi, rodzina i mała Haneczka, która jeszcze nie rozumie, dlaczego dziadzia leży w kościele.



## Katarzyna

Obłe ciało czerwia wślizgnęło się w pustą przestrzeń w nagim dźiąśle Katarzyny tam, gdzie powinna być górna czwórka. Była to prawdopodobnie pięciodniowa larwa jakiejś muchówki, która potrzebowała spokojnego, wilgotnego miejsca na vegetację.

– Ojej! – wykrzyknęłyby Katarzyna. – Myślałam, że nikt nie zauważy tego ubytku! Specjalnie nigdy nie uśmiechałam się szczególnie szeroko, żeby nie było widać. Przyjaciele też nigdy nie zwrócili mi na to uwagi. Może nie chcieli mi robić przykrości, a może nie było to dla nich istotne. A może tylko obgadawali mnie za plecami... – zmarszczyłyby gniewnie brwi Katarzyna. – A może rzeczywiście nic nie zauważyli. A ta przebrzydła muchówka musiała to akurat wytropić! Przebrzydła muchówka!



## Odwiedziny

*Śmierć, może śmierć?*

*W końcu to najbanalniejsze ze wszystkiego, co może być.*

(Marek Hłasko)

Zazwyczaj każdy, kto miał zamiar to zrobić, wychodził o świcie i siadał na nagrobku, oczywiście własnym, chociaż nie było to regułą. Zdarzało się, że zbierali się na jakimś innym, by wspólnie porozmawiać, albo po prostu posiedzieć w swoim towarzystwie, zwykłym skinieniem głowy akceptując wzajemnie swoją obecność. W ten sposób ci spod samego muru cmentarza również mogli być dobrze słyszani przez wszystkich bez konieczności podnoszenia głosu.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego spotykali się tylko za dnia. Ani co robili nocami. Przecież już od dawna żaden z nich nie potrzebował snu.

Tak naprawdę, tylko z rozpędu zachowali swój dawny wygląd. Dlatego, że nie mieli innego pomysłu, nikomu nawet do głowy nie przyszło, że mogłoby być inaczej. Tak samo jak ci, którzy zginęli pod kołami samochodów czy tramwajów, posiadali wszystkie kończyny w należyтым porządku. Nawet nie wyobrażali sobie jak wyglądali teraz w rzeczywistości, dlatego też wyglądali tak, jak uważali iż powinni teraz wyglądać.



Agnieszka Żuchowska – Arent ur. 1983r., absolwentka filologii serbskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, autorka tomiku wierszy *Biała masa tabletek* (Kraków 2005), laureatka kilku konkursów literackich, prezes Koła Młodych przy Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich (oddział krakowski); autorskie wiersze, opowiadania oraz przekłady z literatury serbskiej, chorwackiej i bośniackiej publikowała dotychczas w prasie oraz w antologiach.

Od 2006 r. współorganizowała spotkania z cyklu "Poetycka Wolna Tribuna" – obecnie pod nazwą: "Krakowskie Otwarte Spotkania Artystyczne" (KOSA).

Rysuje, fotografuje, reżyseruje krótkie utwory dramatyczne własnego autorstwa.